

Agnieszka Kołakowska: Między słowem a myślą: niedoszące spotkania

Porównania do stanu wojennego czy do czasów stalinowskich, po które sięga obecna polska opozycja w swoich atakach na rząd, są absurdalne i nie na miejscu. Są absurdalne nie dlatego, że są porównaniami do tamtych czasów, lecz dlatego, że są monstrualnie, groteskowo nietrafne – pisze Agnieszka Kołakowska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Czy jesteśmy zdolni porzucić PRL?

Kilka dni temu były rozruchy na uniwersytecie Berkeley w Kalifornii. Studenci i lewicowi aktywiści protestowali przeciwko “faszyzmowi”. Informacja z gazety z 1968 r.? Nie; jesteśmy w 2017 r. Teraz chodziło o faszyzm Trumpa, ale poza tym mógł to być 1968 r. Nie było (jak na razie) gazów łzawiących, ale fruwały koktajle Mołotowa i było sporo gwałtownych zajść. M.in. lewicowi aktywiści rzucili się na skrajnie prawicowego aktywistę (białego supremacystę) Richarda Spencera - przed kamerami telewizji i ku uciesze, a nawet przy oklaskach, stojących wokół znanych postaci z liberalnego “mainstreamu”. W walce przeciwko “faszyzmowi” wszystko jest dozwolone, nawet fizyczna przemoc. Trzeba tylko wroga odpowiednio nazwać - a siebie i swoich “antyfaszystami”. W Polsce jest podobnie: wystarczy rzucić kilka haseł o “faszystach” i wszystko wolno. Liberalna lewica nie wstydzi się przed kamerami popierać chuliganów, nawet zbrodniarzy. Niczego się już nie wstydzi. Bo chodzi o walkę z “faszyzmem”.

Wróciły dobre stare czasy lat 60 - apogeum wojen kultur. Wraca też ich język, przejęty bezpośrednio od Sowietów, dla których każdy, kto nie był komunistą, był faszystą. Ale przecież nigdy nie odeszły - ani wojny kultur ani ich język. Od 1989r. cały czas tu były, w różnych okresach z różną siłą się wyłaniając spod powierzchni politycznego życia.

Trzy są, wydaje mi się, rodzaje wykroczeń, przestępstw i zbrodni, wchodzących w oskarżenie, które mam tu za zadanie rozpatrzyć - oskarżenie o nieumiejętność uwolnienia się od wzorców PRL-u.

Zapewne są jeszcze inne, które nie przyszły do głowy, ale te wydają się kluczowe. Podejrzewam zresztą, że te inne, które nie przyszły od razu do głowy, lecz może komuś innemu do głowy przyjdą, zmieszczą się w tych trzech kategoriach.

Po pierwsze, właśnie język post-sowieckiej lewicy, beztrosko i w totalnej historycznej ignorancji manipulującej pojęciem faszyzmu, imperializmu i innymi. Po drugie, nowomowa: słowa, gotowe zwroty, czasem nawet całe zdania, które zastępują myślenie. Po to właśnie były wymyślone: by oszczędzić człowiekowi tego wysiłku. Można za ich pomocą godzinami płynnie mówić i pisać, nie mając pojęcia, co właściwie się chce powiedzieć i nie troszcząc się o to. Są sztywne, niezgrabne i szpetne, ogłupiające i niszczące umysły i kulturę, a w dodatku niechybnie (skoro nigdy nie pasują do myśli tak, jak pasować powinny) nieprecyzyjne i niejasne. Gdy - dzięki tej pomocy - myśl pozostaje tak niejasna i niedoprezyconowana, jakby ogóle jej nie było, nic już nie pasuje do niczego; między słowem a myślą nie ma nawet przelotnego spotkania, nie mówiąc o dzień dobry, co słychać i pogawędce przy kawie. Ale pod hasłem nowomowy włączam też, choć nie jest to ściśle biorąc nowomowa w sensie orwellowskim, coś ogólniejszego, o czym za chwilę. Wreszcie, po trzecie, odwołania do peerelowskich instytucji przy opisach dzisiejszej polskiej rzeczywistości. To chyba najmniej ciekawa i najmniej trafna kategoria.

Zacznę od drugiej kategorii, kategorii nowomowy, bo wydaje mi się najtrafniejsza, najciekawsza i najbogatsza. Poza tym rzadko się zdarza okazja obrażenia tylu ludzi za jednym zamachem. A skoro jednocześnie jest to okazja, by ponarzekać na mój ulubiony temat, jakim jest dzisiejsza polszczyzna i zbrodnie na niej popełniane, trudno się oprzeć. Co powiedziawszy, niechybnie sama zaraz jakiś straszliwy błąd popełnię; zawsze tak jest. Ale po pierwsze nie o własnych zbrodniach chcę tu mówić, choć zapewne i takich nie brak, tylko o cudzych, więc proszę nie pisać oburzonych listów do redakcji. A po drugie nie o błędy gramatyczne czy nawet semantyczne mi tu chodzi, lecz o to coś ogólniejszego, czym jest pozostały po PRL-u sposób mówienia, a zwłaszcza pisania - wraz z założeniami, często może nieświadomymi, które się za nim kryją.

Może od razu parę przykładów, które wyjaśnią, o co chodzi. (I tu właśnie radośnie się rzucam na okazję obrażania wielu ludzi: redaktorów, korektorów, kolegów, znajomych...). Teza redakcji, do której mam za zadanie się odnieść i po której następuje pytanie, brzmi: Ludzie porównują obecną polską rzeczywistość do czasów PRL-u, szukając podobieństw; porównują też dzisiejszych polityków i publicznych postaci do postaci z czasów PRL-u. Ale teza ta niestety wcale tak nie brzmi. Zamiast tego czytam w mailu od redakcji, że “uwidacznia się szukanie paraleli” z czasami PRL-u i że da się ciągle słyszeć “porównania personalne sięgające postaci komunistycznych”. Pytanie natomiast brzmi: czy to dobrze czy źle? Nie, niestety pytanie też wcale tak nie brzmi; jest o wiele dłuższe. Ale przynajmniej jest zrozumiałe i do tego się sprowadza.

Gdy człowiek musi wszystko czytać dwa albo trzy razy, by zrozumieć, o co chodzi, coś jest nie tak. Nowomowę i tego typu pokrętne sformułowania najlepiej wyśmiewał Słonimski. Dziś nikt ich nie wyśmiewa, bo prawie wszyscy tak piszą - i mówią. Znikają czasowniki, zwłaszcza w trybie czynnym; zamiast nich pojawiają się abstrakcyjne rzeczowniki i bezosobowe konstrukcje, otoczone kolczastym drutem szpetnych i pokrętnych sformułowań. Coś bez przerwy czemuś ulega; nic nie może po prostu czymś być, zawsze musi coś stanowić. Tępienie jest biedne “i”, wściekle zwalczane niewinne “ale” (zwłaszcza na początku zdania, bo tak uczono w szkole redaktorów i korektorów), niedozwolone “bo” i “jest”. Zamiast tego musi być “oraz”, “jednakowoż”, “bowiem” (które na dodatek bywa zazwyczaj wstawiane w niesłusznej pozycji na początku zdania) i “stanowi”. Najbardziej cierpi język pisany, gdzie z tajemniczych powodów, być może w jakiś sposób związanych z okresem PRL-u, unika się jak ognia wszystkiego, co może zabrzmieć “potocznie” – to znaczy jak coś, co ktoś by w normalnej mowie powiedział. Wskutek czego polski język pisany stał się szpetny i sztywny, rozwlekły, niezgrabny i często niezrozumiały.

Ale czy naprawdę są to pozostałości po PRL-u? W przypadku pierwszej kategorii – języka lewicy – na pewno nie. Przynajmniej nie w mierze, w jakiej mówimy tu o języku tylko w Polsce. W szerszym znaczeniu – owszem, bo są to pozostałości po wojnie i po sowieckim komunizmie. Ale ten język stał się międzynarodowym językiem lewicy; w latach 60. w

Berkeley był używany dokładnie tak samo, jak dziś - w Berkeley, w Nowym Yorku, w Londynie i w Warszawie. Nie ma w nim nic nowego; do starych haseł antyfaszyzmu, antyamerykanizmu, antykapitalizmu, antyimperializmu i antysyjonizmu doszło tylko hasło antyglobalizmu. Czy jest to KOD czy BDS, ruchy "Occupy" Street czy ruch "Black Lives Matter" – język jest ten sam. Jest to język sowieckiego komunizmu, i tylko w tym sensie język PRLu, z tego samego źródła płynący.

W przypadku trzeciej kategorii – odwołań do PRL-u – oskarżenie wydaje mi się chybione i mało ciekawe. Porównania z instytucjami i postaciami PRLu czasem są trafne, czasem nie; mogą pasować lepiej albo gorzej. Nie widzę powodu, by z zasady je tępić czy na nie narzekać (zwłaszcza, że niestety często są trafne). Skojarzenia mamy takie, jakie mamy; nie można ich zmienić dekretem ani aktem woli. W naturalny sposób sięgamy po porównania do rzeczy bliskich w czasie i bliskich naszemu doświadczeniu. Nie znaczy to, że takie porównania zawsze są pomocne, ani że zawsze mają solidne podstawy, ani że nie powinniśmy ich badać, sprawdzać i analizować, gdy przychodzą nam do głowy. Po namyśle możemy uznać, że nasze skojarzenie było nietrafne. Ale absurdem byłoby powiedzieć, że nie powinno było nam się skojarzyć. Język, jaki słyszymy, poczynania polityków, biurokracja, manipulacja, przekłamania czy przekręty, jakie widzimy w dzisiejszym życiu publicznym, mogą z najróżniejszymi rzeczami się kojarzyć; pewne aspekty biurokracji czy manipulacji mogłyby kojarzyć się, na przykład (mutatis mutandis), z instytucją Inkwizycji hiszpańskiej w XV wieku. I po namyśle możemy dojść do wniosku, że takie porównanie byłoby trafniejsze i bardziej pomocne, niż porównanie z instytucjami czy postaciami PRL-u. Ale jako pierwsze skojarzenie byłoby chyba dziwne. Wszystko też zależy od tego, co chcemy wyjaśnić, pod jakim względem i w jakim celu porównujemy jeden okres z innym. Niewiele więcej chyba można o tym powiedzieć.

Ale może redakcji wcale nie o to chodzi. Może chodzi o to, że porównania do stanu wojennego czy do czasów stalinowskich, po które sięga obecna polska opozycja w swoich atakach na rząd, są absurdalne i nie na miejscu. Oczywiście, że są nie na miejscu; oczywiście, że są absurdalne. Ale są absurdalne nie dlatego, że są porównaniami do tamtych czasów, lecz dlatego, że są monstrualnie, groteskowo nietrafne. Są dokładnie tym samym, co okrzyki w Berkeley o "faszystach" – okrzyki, do których zresztą polska opozycja też często i

radośnie się ucieka. Faszyci, bolszewicy, komuniści, stalinowcy – wszystko jedno, byle by był pretekst do opluwania wroga i - jeśli się uda - zorganizowania rozruchów. To też jest język obecnej międzynarodowej lewicy, tylko cynicznie i manipulacyjnie wykorzystujący komunistyczną polską przeszłość. Jest to też, w ustach polskiej lewicy, język pełen dech zapierającej hipokryzji: krzyczenie o stalinizmie i stanie wojennym średnio przystoi ludziom, którzy przez ostatnie ćwierć wieku zwalczali antykomunizm i którzy chełpią się sowieckim z rodu mianem “antyfaszystów”.

Pozostają do rozważenia zbrodnie popełniane na polszczyźnie. Tu też wąski i bezpośredni związek z okresem PRL-u wydaje się wątpliwy, a przynajmniej trudny do ustalenia. Bezmyślność i lenistwo i bez komunizmu mogą istnieć; w każdym kraju i w każdej epoce się zdarzało, że ktoś, kto nie ma nic do powiedzenia, albo nie wie, co właściwie ma do powiedzenia i nie chce mu się nad tym zastanowić, stara się to ukryć za pomocą niezrozumiałego bełkotu, który - dlatego właśnie, że jest niezrozumiały - ma być uznany za niebywale wprost mądry i poważny. I niestety często bywa za taki uznany. Że przybiera on formę abstrakcyjnych rzeczowników, trybu biernego, pokrętnych sformułowań i bezosobowych form, jest może charakterystyczne dla XX wieku (choć i to jest bardzo wątpliwe), ale niekoniecznie z komunistyczną nowomową, a tym bardziej z językiem PRL-u, związane; przybiera dokładnie taką samą formę w wielu dziedzinach humanistyki na każdym uniwersytecie na świecie.

Upadek polskiej prozy i przedziwne mniemania redaktorów i korektorów o tym, jak powinien wyglądać język pisany - to inna sprawa. Szukam gorączkowo czegoś podobnego w innych językach i nie znajduję. Po hebrajsku język pisany bardzo się różni od potocznego, ale po pierwsze tylko w słownictwie, które jest o wiele bogatsze niż w codziennej mowie, a po drugie nie staje się przez to szpetny, zawły, sztywny ani niezrozumiały. Po francusku język pisany wyprawia niestworzone i rozwlekłe akrobacje, ale też nie staje się ani szpetny ani niezrozumiały, i nie zamienia się w nowomowę, gdy tylko pióro dotyka papieru (czy palec klawiatury). Przedwojenna polska proza bywała wspaniała: lekka, wdzięczna, naturalna. Czy to naprawdę PRL ją zniszczył?

Wolno w to wątpić. Wracając myślą do hebrajskiego - języka, którym mówię płynnie na co dzień ale z wielkim trudem czytam gazetę, a o książkach nie ma mowy - i zdaję sobie nagle sprawę, że proza, którą mogę czytać po hebrajsku, jest prozą najlepszą. Na przykład proza Amosa Oza. Zaczęłam czytać jego "Opowieść o miłości i mroku". Przyznam, że nie przebrnęłam przez wiele rozdziałów, bo nie chciało mi się wiecznie sięgać po słownik (w końcu przeczytałam ją po polsku, w świetnym tłumaczeniu), a liczy ona 600 stron; ale nie sięgałam aż tak często po słownik. Najlepsza proza jest przejrzysta, naturalna i prosta. Tak samo po angielsku, po francusku, po włosku. W Anglii, we Francji ani w Izraelu nie było komunizmu i komunistycznej nowomowy. Była, i jest, po prostu dobra proza i zła. Więc (nie piszemy "więc" na początku zdania! strofuje korektor, który pamięta lekcje polskiego z trzeciej klasy szkoły podstawowej) może z polską prozą jest tak samo?

Ale (nie piszemy "ale" na początku zdania! - kor.) dlaczego tej dobrej jest tak mało? I dlaczego ta zła jest zła w tak okropny i przewidywalny sposób? I dlaczego język pisany, w odróżnieniu od literackiej prozy, jest tak koszmarny? Może jednak PRL?

Nie mam odpowiedzi. Chyba tak. Ale trudno to ustalić, a tym bardziej udowodnić. Nie mam też odpowiedzi na pytanie, jak temu zaradzić. Mogłabym powiedzieć, jak zwykle: czytać Biblię. A także Orwella. Ale na szczęście nikt odpowiedzi na to pytanie ode mnie nie wymaga. Więc (nie! - kor.) kończę aporetycznie, ponarzekawszy sobie.

Wszystkie wtrącenia w nawiasach zostały wprowadzone przez Autorkę.